ROZMAITOŚCI.

Dnia 3. sierpnia, N^{er} 31. roku 1844.

Pan Krzysztof.

(Dokończenie.)

Takiem rozumowaniem chciałem się łudzić i łudziłem. Nie zaufaj nigdy twoim siłom, człowiecze! Chcesz się uchronić występku, nie czyń pierwszego doń kroku. Gdy wstępujesz na złą drogę, nie wymawiaj się czystością zamiarów, bo zamiary w początku zwykle czyste bywają. Nikt jeszcze nie powiedział: ja chcę źle robić. Każdy szlachetne jakieś pobudki przed samym sobą przywodzi, i niktby nie wszedł na drogę występku, gdyby z-razu wiedział jak daleko go zaprowadzi. Drogę tę kryją jednym róże, drugim laury, trzecim obywatelskie wieńce. Nie postrzegasz jakeś wszedł na pochyłość, z której im daléj, tém trudniej wrócić; — gdy już stąpasz po ukrytych pod nogami dołach i na nich utykasz, jeszcze lekce ważysz te utknięcia, bo jeszcze myślisz, że ta droga wiedzie do swego celu, a twój cel dobry, — przepaść przed sobą ujrzysz dopiéro wtenczas, kiedyś stanął na spadzistym i ślizkim jéj brzegu, na którym już niema ocalenia.

Chciałem ukrywać moję miłość przed Maryją. Słowa »kocham« przed nią nie wyrzekłem, ale bawiłem dni przy niéj Inaczéj rozmawia zakochany jak obojętny. Każde słowo moje tchnęło tym wyrazem, któregom nie chciał wymówić, w każdym słowie była trucizna, którą Maryja połykała nie wiedząc, bo miłość jest zaraźliwą chorobą, udziela się w oddechu, w rzucie oka, w poniewolném dotknięciu, w powietrzu, które nas otacza.

Wiosna się zbliżała. Edward wyjeżdżał na objęcie swojéj wsi i przygotowanie w niéj domu dla żony. Przewidywałem, że mnie z sobą wziąć zechce. Mnie wieś nudziła, drogi złe były, wolałem zostać przy Maryi. Uprzedzając więc jego zaproszenie, zmyśliłem, żem w tym samym czasie obiecał się na wieś komu innemu na imieniny i chrzciny. Uwierzyli oboje. Maryja była zdziwiona, widząc mnie po odjeździe męża. »Po jutrze jedziemy,« powiedziałem. Pojutrze zaś z udaném zasmuceniem uwiadomiłem ją, że dziécię, które chrzcić miano, umarło, więc imieniny ojca obchodzić się nie będą, i ja zostaję we Lwowie. — »Szkoda,« dodałem, »żem nie pojechał z Edwardem — ale dziś już za nim gonić trudno.« — I tak zyskałem kilkanaście dni samotności z Maryją, bo Edward zatrzymał się na wsi nad zamiar. W tych dniach przyzwoitość była zachowaną. Edward często wspominany, i zawsze z uwielbieniem, — ale w przeciąganych coraz dłużéj godzinach, coraz głębiéj u brzegu przepaści Maryja zasypiała, upojona coraz więcéj wonią zakazanego owocu, nie domyślając się jeszcze, z którego to drzewa ta woń pochodzi.

Edward nadjechał i wszedł niespodzianie. — Maryja się zmieszała, razem postrzegła to zmieszanie, zlękła go się i nie umiała go ukryć. Ja witając Edwarda z serdecznością Judasza, uwiadomiłem go, że mała dziewczynka wczoraj była chora trochę, a choć już dzisiaj zdaje się zupełnie zdrowa, czuła i bojaźliwa matka jak pragnęła jego powrotu tak razem bała sie go zmartwić na wstępie. Pospieszył Edward do kolebki — dziécię rumiane spało spokojnie. — »Patrz,« mówiłem, »jeszcze dziś ma trochę gorączki, jeszcze zanadto rumieńców, ale nic jéj nie będzie — zapewne ząbków dostaje.« — »A ty dawnoś powrócił?« spytał mnie. — »Wczoraj wieczorem,« odpowiedziałem. — Już

więc byliśmy z Maryją po raz piérwszy w porozumieniu, — już miłość wzajemna była obojgu jawną, równie jak konieczność dalszego kłamania.

Troskliwość o dziécię zajęła Edwarda, ale widząc żonę nad miarę zmartwioną, starał się ją uspokoić, chciał pieszczotami ukołysać jéj trwogę; — jéj właśnie te pieszczoty dawały uczuć, że już na nie z dawnem wylaniem odpowiadać nie może. To nowe odkrycie było dla niéj męką, którą obecność moja powiększała. Oszczędzając ją, zmyśliłem potrzebę prędkiego odejścia Alem wrócił nazajutrz. — Maryja była smutna, widocznie noc we łzach przepędziła, na mnie oczu podnieść nie śmiała. Skarżyła się przed Edwardem na ból głowy. Edward cały w projektach gospodarstwa, którem sobie układał zająć się z tą samą gorliwością, co dotąd naukami, składał papiery, pakował książki, załatwiał rachunki, wybiérał się do wyjazdu — i mnie z sobą zaprosił. Maryja zadrżała, nie śmiała się odezwać, — jam zaproszenie przyjął po krótkim oporze. Przez kilka dni które do odjazdu minęły, starałem się zawsze zastawać Edwarda, — z Maryją jak najmniéj rozmawiać. Myślała żem się upamiętał, żem postrzegł niebezpieczeństwo i nie zechcę ją i siebie na dalsze narażać. To ją uspakajało nie wiele, ale obaliło zamysły zawziętego oporu, nie przebytego między nami przedziału, które układała i oddało ją bezbronną w moje ręce.

Zaraz piérwszego wieczora na wsi, Edward zatrudniwszy się z ekonomem, nas w ogrodzie samych zostawił. »Maryjo!« rzekłem, trzymając piérwszy raz jéj rękę, nie lękaj się mnie. — Ja cię kocham, ale to miłość cnotliwa, która owoców gorzkich nie wyda. Ja szacuję, kocham Edwarda.« — »Ach, ja nieszczęśliwa,« zawołała wyrywając rękę, »ja go już nie kocham!«

Edward zajął się gospodarstwem. — Jam w pole z nim nie jeździł, raz mu się przyznawszy, że nie mam w gospodarstwie najmniejszego upodobania, alem rysował mu plany budowli, podniecał jego zapał do przedsięwzięć, wysyłał go na jarmarki za końmi i bydłem, zakładał mu ogródek koło domu i nad tém wiele pracowałem, bo Maryja zwykle była przy mnie.

Maryja wytrzymała walkę długą i srogą, i wyszła z niéj niejako zwycięzcą, bo wyznać winienem, że jakiekolwiek były moje chęci i zamiary, nawet w chwilach, kiedy Maryja była najsłabszą a jéj miłość dla mnie najsilniejszą, nigdy nie postała we mnie i postać nie mogła nadzieja, aby Maryja kiedy stała się tak występną czynem, jak już była sercem, namiętnością, któréj poznawała niemoralność i nieprzyzwoitość, którąby była rada wraz z sercem wyrwać ze swego łona. — Raz brała dzieci za tarczę przeciw jéj pociskom, jak Twardowski co się diabłu przybyłemu po zapisaną sobie duszę, dzieckiem niewinnem oganiał; ale dzieci zasypiały — a jam czuwał. Drugi raz udawała przedemną i przed sobą gniew, nienawiść albo obojętność dla mnie, jam się znał na tém. — Błagała mnie abym uchodził, przyrzekałem, alem zostawał. Odjeżdżała do rodziców — ale wracając zastawała mnie na tém samém miejscu, tylko gorętszym, tylko stęsknionym. Przywoływała w pomoc ostatki uczuć dla Edwarda, chciała miłość uzdrowić miłością, sprowadzała piękne panny z sąsiedztwa i swatała mnie z niémi. Za późno! Nocy we łzach trawiąc a w dzień mając uśmiech przynajmniéj litości na ustach dla Edwarda, bladła, słabła, nikła, śmierć obok miłości tkwiła w jéj łonie. Edward z trwogą widział jéj osłabienie, — wzywał lekarzy, — przyczyny odgadnąć w zaślepieniu nie mógł. Maryja czuła blizkość śmierci, ale jéj wyglądała jak wśród srogiéj burzy powodzi, w któréj miała utonąć jéj namiętność. Bóg na jednéj szali ważąc jéj winy, na drugiéj tę walkę położy. I mnieby ją może policzył, gdybym nie był zwodzicielem, bo i jam walczył i we mnie odzywał się głos cnoty i powinności i ja nieraz byłem blizki zerwania na zawsze tych występnych węzłów. I jam poźniéj przewidywał śmierć Maryi, ale już wtedy moje oddalenie nie byłoby ją ocaliło. Przyjmowałem ją jak nieuchronną już karę niebios dla siebie. Układałem sobie, że po jéj zgonie odjadę daleko, daleko, aby Edward nigdy o mnie nie usłyszał, i odbiorę sobie życie. Ale właśnie tą myślą rozpaczy, tą blizkością gromu, który miał we mnie uderzyć, tém własném i Maryi cierpieniem

Ignąłem do niéj jeszcze bardziéj, bo mi wielkość jéj miłości widzieć dawały.

Ślepota Edwarda mnie coraz mniéj ostrożnym robiła. Występek sam pod sobą dół kopie. Edward jednego poranku odjéżdżał na jarmark. Ujechawszy już po za ogród, opatrzył się, że pieniędzy w swoim stole zapomniał; wyskoczył z bryczki, przebiegł przez ogród i zadyszany stanął przed szklannemi drzwiami swego pokoju. My już tam byli — już w uniesieniach czułości zapomniawszy o świecie, nawet o drzwiach do ogrodu otwartych, odwróceni od nich, przysięgaliśmy sobie wieczną miłość, gdy cień Edwarda próg przestępującego nas przestraszył. Jeszcze wtenczas gdybym był miał przytomność udania, że powtarzamy na żart scenę z jakiego miłośnego dramatu, pewny jestem że poczciwy, niewinny Edward byłby nam uwierzył. Ale zmieszanie i przestrach nas wydały. Każdy zdrajca jest podły; jam drugiemi drzwiami wyskoczył — jam przywiedzioną przez siebie do progów śmierci Maryję w takiéj chwili opuścił! Nie wiém jak się z nią obszedł Edward. Do mnie, myślałem że wpadnie niebawem w rozpaczy blizkiéj szaleństwa. Myślałem że jak dziki człowiek rzuci się na mnie i pazurami rozszarpie. On wszedł spokojnie z zimną postacią, w któréj się więcéj wzgardy malowało jak gniewu, i w pół pokoju się zatrzymał w milczeniu. »Edwardzi-!« zawołałem. »Tylko krew może zmyć krzywdę, którąm ci zadał. Oto masz ją, bronić się nie będę, jakeś ty w zaufaniu bez granic, mnie się nie bronił.« Obnażyłem piersi i podałem mu nabity pistolet. — »Zasłużyłeś,« odpowiedział powoli, »abym cię jak podlego ukarał. Ale wtedy jeszczebyś umiérając się cieszył, żem i ja był podłym. Téj pociechy ci sprawić nie chcę. Tyś był zdrajcą, Maryja słabą — podałeś jéj jabłko — przyjęła je — ale nie wierzę, aby je ukąsiła. Prawo nie daje mi nad tobą żadnéj zemsty, skoro czyn nie był spełnionym. — Wracamy więc do prawa natury. Tyś stargał więzy, które łączą (społeczeństwo), dla nas społeczeństwo nie istnieje. Szczęścia nic mi wrócić nie może, ale prawo natury mnie upoważnia do wymierzenia na ciebie kary. Karą tą będzie śmierć, jeźli ty polegniesz, — wieczna zgryzota sumienia, jeźli ja zginę. Rozprawmy się równą bronią. Ta samą bryczka, która na mnie czeka za ogrodem, jedź uprosić sobie sekundanta, i z nim za granicę przy ujściu Sanu do Wisły, ja z drugim we dwa dni za tobą tam przybędę. O jedno cię proszę, i na tę przychylność, którą miałeś dla mnie nim cię zaślepiła namiętność, zaklinam: ani przed pojedynkiem ani po nim, nie wyjaw przed nikim powodu dla którego się strzélać będziemy; — zgubiłeś Maryję, wydarłeś jéj szczęście, własny szacunek i wydarłeś życie, bo walka między powinnością a czuciem, jest jak dziś widzę, przyczyną konsumpcyi, która mnie trwożyła od dawna. Ocal przynajmniéj cześć jéj u ludzi. Powiedz, żeśmy się posprzéczali o cokolwiek, o piérwszeństwo koni angielskich przed hiszpańskiémi — żem ja był niegrzeczny, ty dumny— i tak przyszło do kłótni.« — »Nie!« przerwałem. »Ja powiém szczérą prawdę, żem był lisem, któregoś ty głaskał i pieścił, boś się na nim nie poznał, a który cię potém ukąsił zdradliwie, — powiem, żem pracował z Mefistofelesa zręcznością nad uwiedzeniem twojéj żony — ale powiém jak prawda, żem celu mego nie dopiął.« — »Miejsce boju,« zakończył Edward, »sama potrzeba wskazuje, — broń obrałeś, kiedyś mi podał ten pistolet, strzał piérwszy do ciebie należy, boś ty wyzwany. — Wracam ci pistolet, bo nie myślę abyś wszedłszy w siebie i osądziwszy się z zimną krwią, chciał przed karą Boga i moją ujść samobójstwem.«

Stanęliśmy na piaszczystym i od wszelkich mieszkań oddalonym brzegu Wisły i Sanu naprzeciw siebie. Było ułożono że Wisła pochłonie poległego a trzéj pozostający rozjadą się w trzy strony nim się kto dowié, że się pojedynek odbył. Edward i ja zostawiliśmy przez ostrożność u przyjacioł listy pisane bez związku, ale dające łatwo się domyśléć, że piszący odjéżdża w szaleństwie odjąć sobie życie. Postrzegł sekundant Edwarda, że ja umyślnie źle mierzę i schwycił mnie za rękę. »Czy chcesz grać komedyję?« zapytał. »Czy myślisz że Edward ją gra? Albo że chybiony dobrowolnie, zechce strzelić do ciebie?« — I Edward się odezwał piérwszy raz z gniewem: »Zabiłeś mi żonę i szczęście — a sądzisz że dbam o życie; — wiedz że kiedy my tu się strzélamy, w domu odbywa się jéj pogrzeb. Mierz dobrze, strzélaj!« — Strzéliłem, Edward upadł. Wiém co jest piekło. bo wstąpiło wtedy we mnie. Edward słowami wyrzeczonemi do mnie przy wezwaniu odebrał mi możność samobójstwa, oddać się w ręce sprawiedliwości było to gubić sekundantów, podawać imię Edwarda na rozmowy, a tém samém na różne sądy. W uniesieniu mojego żalu, nie mogąc się ukarać a chcąc przynajmniéj poprawić przy ciele Edwarda przysiągłem, że nie będę znał odtąd miłości, ani pojedynku. Czy uwierzycie, żem dotrzymał obojga? Przeciw miłości strzegła mnie zgryzota, późniéj wiek na zawsze zasłonił, — pojedynku trudniéj było uniknąć.

*

III.

Nie mogąc wracać do Galicyi, pojechałem do Warszawy. Rzeczy publiczne były się utarły. Nie wymagano już od nikogo nowéj przysięgi. Dawni znajomi ucieszyli się moim powrotem i bez trudności wyrobili mi w pułku Działyńskiego stopień, który właśnie opuszczał jeden z oficerów zasłużonych, występujący z wojska dla słabego zdrowia. Na jego pożegnanie wyprawili koledzy ucztę, na którą i ja byłem zaproszony. Młody oficer, który się spodziéwał osiągnąć po nim stopień porucznika, mnie świéżo oddany, podochociwszy sobie przy obiedzie, począł przymawiać ludziom, co przez protekcyę drugim zabiérają miejsca. Zrazu milczałem, on myśląc, że nie rozumiém, albo się wstydzę zrozumiéć, spełniając kielich po kielichu, coraz ostrzéj docinał. Opowiedziałem mu bajeczkę o młodéj sosence, która się skarżyła na starą sosnę, że wysoko wyrosła i cień jéj robi. — Przebądź ty tyle zim, co ja, odpowiedziała sosna, tyle burz i wiatrów, a wyrośniesz równie wysoko. — Wszystkim już wino dodało było wesołości, i moja bajeczka śmiech głośny i powszechny wzbudziła. Zawstydzony a więcéj jeszcze rozgniewany mój przeciwnik, wstał od stołu i wyszedł, a nazajutrz przysłał mi wyzwanie w obraźliwych słowach ułożone. Wziąłem dwóch zacnych kolegów i z nimi poszedłem mu przełożyć, że się z nim strzélać nie mogę. Śmiał się z moich powodów. Na dowód że strzélać umiém, wbiłem kulą z pistoletu w jego pokoju gwóźdź głębiéj w ścianę. »To jeszcze bardziéj dowodzi żeś tchórz!« zawołał; »kiedy strzélając tak zręcznie, boisz się pojedynku.« — Po takich słowach, ci których byłem przyprowadził z sobą, uznali że niepodobna mu pojedynku odmówić, a nie zdolni ocenić moich pobudek, tak przeciwnych ich obyczajom, oświadczyli że ze mną służyć nie będą, jeźli nie stanę. Nie pozostawało mi jak złamać przysięgę i zostać może drugi raz zabójcą, albo wziąć dymisyę z wojska, i ukryć wstyd mój w miejscu gdzieby mnie żadne znajome oko nie postrzegło, żadne ucho o mnie nie zasłyszało. I gdzież się ukryć? W całéj Polsce mogłem spotkać znajomego, a w całém świecie Polaków. Nie miałem majątku ani znaczenia, dopiéro osiągniona mała płaca porucznika była całym chlebem moim. Nie pragnąłem więcéj — straciłem był smak do zabaw, nosiłem w sobie pamięć przewinień zatruwających mi życie, którego już mi nic uprzyjemnić nie mogło. Wszystko co ludzie cenią i czém się cieszą lub wynoszą, albo mi los odmówił, albom utracił. Jeden stan szanowny wojskowy mi pozostał, w którym nikt mnie nie śmiał obrażać ani zawstydzać. I to ostatnie dobro miałem porzucić i na wzgardę powszechną, na pośmiewisko moje imię na zawsze wystawić! Śmierć na krzyżu, śmierć wśród katuszy byłaby mi znośniejszą, — a przeciem sobie słowa dotrzymał i ten wstyd za karę nieba przyjmując, poddałem jéj się bez szemrania. Tylko w nizkim stanie mogłem znaleźć ukrycie, — tylko w nizkim stanie zarobek, nic nie umiejąc gruntownie, do niczego jak na dworaka i żołnierza nie usposobiony. — »Mam się karać,« mówiłem do siebie, »niechże kara będzie zupełną. Stan braciszka w klasztorze zdawał mi się być dla mnie jeszcze nadto spokojnym, nadto mało upokarzającym. Udałem się w głąb Litwy i napisawszy świadectwo wiernéj i trzéźwéj służby, pod przybraném imieniem wstąpiłem w służbę hajduka w szlacheckim domu.

Dobrzem wybrał; trudno było wybrać sobie karę ostrzejszą. Kto nie doznał, nie wié, co to jest służyć. Nie wspominam o podłych usługach, które pełnić musiałem, to od wyobrażenia zależy, ale ciągle od świtu do poźnéj nocy ruszać się i męczyć, a przecie nic nie robić, — każdą zaczętą robotę najmniejszą mieć sto razy przerwaną, a w końcu usłyszéć wyrzut że nie zrobiona; być wiecznie na zawołaniu, dogadzać niestałym zachceniom pana, pani, dzieci, gości, sług wyższych od siebie! — Co jeden lubi, drugi nienawidzi, ten sam czego pragnął i co nakazywał wczoraj, dziś nie chce, każdym krokiem komuś nie dogodzisz, kogoś obrazisz. Pan był kwaśny i gdyrliwy, pani popędliwa, dzieci zepsute i wymyślne — a respektowa panna! A krewny nieboszczki pierwszéj żony w wiecznéj z drugą żoną wojnie! — A te półpanki, których znajdziesz wszędzie, których jeszcze więcéj w dawnych domach polskich bywało, dumne, wymagające, niezgodne, a marszałek często nie trzéźwy, nie umiejący zarządzić, a surowy — a chętny każdemu oddać te obelżywe słowa które od pana usłyszy! I każdy względem wyższych i równych się powściąga — narazić się nie chce, — na hajduka spadają wszystkie winy, wszystkie wymówki, wszystkie obelgi, bo on musi znosić wszystko. Drudzy hajducy, twoi towarzysze, oddani pijaństwu, rozpuście, kradzieży — żyj z nimi, szukaj przyjaźni, przebaczaj grubijaństwo, taj ich przewinienia, będziesz gdy się odkryją, wraz z nimi karany; — nie taj, wystawisz się na ich zemstę, na ich szyderstwo, obmowy, plotki, potwarze, użyte aby się pozbyć prędzéj niewygodnego świadka. Żyj najpoczciwiéj, wszystko przed tobą zamykają — ukrywają

przed tobą wszystko prócz nieufności i podejrzliwości. Coś zginęło, tyś ukradł, — znalazło się, nikt cię nie przeprasza. A za to chodź w odzieży po wierzchu okazałéj, ale w bieliznie grubéj i nigdy częściéj jak raz na tydzień nie odmienianéj. Nie mógłem cieńszą bielizną, albo jéj, częstszém zmienianiem wydawać się, albo ściągać na siebie podejrzenie kradzieży. Gorąco, dźwigaj twoją barwę, — zimno, marznij w niéj, czekaj na mrozie, bo pan się bawi w pokoju. Dla drugich zbytkowne potrawy, dla ciebie strawa najgorsza, — zlizuj, jeźli chcesz, reszty z talérzy, dojadaj niedogryzione, pij z téj szklanki, z któréj pili wszyscy, — spij w ciasnym szlafbanku między ciżbą niechlujną, w nieogrzanéj izbie, albo w swądzie, w dymie; choćbyś sam był najczyściéjszy, nie unikniesz plugastwa, brudów i smrodu.

Wytrzymałem te męki rok cały. Bóg mnie od dalszych uwolnił. Mowiono przy stole o powstaniu w Krakowie — o blizkiém w całym kraju wybuchnieniu — mówiono już jak o rzeczy pewnéj, bez bojaźni. Nie czekając dłużéj, podziękowałem memu panu za służbę, a odebrawszy wysłużone 50 złotych, puściłem się piechoto ku Polsce. W granicach korony usłyszałem z pewnością od wojskowych że porucznik, mój przeciwnik i następca, przeniósł się na kapitana do nowego pułku krakusów i jest z naczelnikiem; nie zbaczając więc do Warszawy, szedłem prosto do obozu, i tam prosto do pana kapitana, aby się do jego kompanii zaciągnąć. Przypatrywał mi się mocno, badał długo, — kłamałem bezczelnie, — to jedno w moich zeznaniach było prawdą, że przychodzę prosto z Litwy. »Jaki podobny do owego sławnego Dołęgi, co to się bał ze mną pojedynku!« mówił kapitan do przytomnych. Wątpię żeby był dobrym żołniérzem, — ale trzeba nam ludzi, przyjmę go!« Już było po bitwie Racławickiéj, — nieprzyjaciel stał blizko, — spodziewano się lada dzień drugiéj bitwy. Wieczorem chciał mój kapitan udać się na spoczynek, gdy mu zwiastowano że jakiś żołniérz z nowo zaciężnych chce z nim mówić. Kazał mnie wpuścić.— »Nie pomyliłeś się panie kapitanie,« rzekłem do niego, »ja Krzysztof Dołęga. Tyś myślał, że ja się boję pojedynku, — nie, jam go tylko odkładał do czasu, w którym wolno ważyć życie bez ściągnienia na siebie winy zabójcy i bez złamania mojéj przysięgi. — Teraz przychodzę ci stanąć. Wyzwany, ja wybiéram: plac, przed nieprzyjacielem, — zas, piérwsze z nim spotkanie, — broń, działa pruskie albo moskiewskie, sekundanci, całe wojsko narodowe. Pokażmy przed nieprzyjacielem, kto z nas odważniejszy i kto się mniéj kul lęka; aż do owego czasu, ja muszę wstyd mój ukrywać, — ale jeźli zginę, pamiętaj kapitanie, żeś winien cześć mi powrócić.« — »Przebacz kolego,« była odpowiedź kapitana, żem cię o bojaźliwość posądził. — Ja młody popędliwy, byłem twego stopnia zazdrośny. Twój postępek jest tak szlachetny, że nie masz co ukrywać, — i choćbyś był innego zdania, będę przy tém obstawać, że ja z człowiekiem obwołanym za tchórza stanąć do pojedynku nie mogę; — muszę więc piérwéj odwołać potwarz, którą na ciebie rzucałem.« I zaraz się ubrał, poszedł, pobudził kolegów, opowiadał: nazajutrz moja historyja była głośną w całym obozie — wszyscy byli ciekawi mnie widzieć — dawni znajomi podawali mi ręce — nowi przychodzili poznawać, wszyscy wielbili mój szlachetny pojedynek. Wieczorem nieprzyjaciel się przybliżył, — ze świtem uderzyliśmy na niego. Ja szedłem przy kapitanie. Wypadek bitwy wiadomy; kapitan w niéj poległ: mnie ciężko rannego odniesiono z pobojowiska. Naczelnik mnie odwidził, pochlebnémi słowy uszczęśliwił, i oddał mi stopień poległego kapitana. W tym stopniu wyleczywszy się z ran moich, z nim razem pod Maciejowicami szukałem śmierci, znalazłem niewolę. — *T. W.*

Nowe wynalazki.

Uwaga publiczności zwróciła się na nowo ku napowietrznéj żegludze. Niejaki pan Kirsz odbył w Paryżu, po kilku daremnych próbach, świetną nareszcie podróż balonem z kauczuku czyli *gummi elasticum.* Uleciał trzydzieści mil w trzech godzinach i spuścił się na ziemię w pewném miasteczku Szampanii. Tamtejszy burmistrz z swoim adjunktem, którzy napowietrznego żeglarza uprzejmie powitali, byli najpiérwsi którzy jego zasługę ocenili. Właściwie zapowiedziane było wzlecenie balonu z blachy miedzianéj; ale ten znajduje się jeszcze na warsztacie, i nie wytrzyma zapewne współzawodnictwa z balonem pana Kirsz. Gdy bowiem zupełnie już był skończony, okazało się, iż w miejscu spojenia płyt metalowych, powstały całe rzędy mikroskopijnych dziurek, któreby przy wznoszeniu się balonu, mogły były gaz zeń wypuszczać. Sądzą wprawdzie, iż odrobinka złota byłaby dostateczną do zagojenia tych ran, lecz taki balsam jest w naszych czasach niestety bardzo rzadki, i może się przeto zdarzyć, iż balon metalowy będzie musiał balonowi z gummi-elasticum, ustąpić jedynowładztwa w dziedzinie napowietrznéj. Jakoż w saméj istocie, niebyło-

by to wielką szkodą. Bo w balonie miedzianym zdołałaby najlżejsza przeszkoda rozwolnić spój płyt blaszanych, a powietrzny podróżnik mógłby, jak drugi Ikar, przepłacić życiem swoją zapamiętałość. Należy owszem zaniechać już wszelkich doświadczań tym balonem, którego konstrukcyja, jak widzimy, na fałszywych polega zasadach. Gdy przeciwnie materyjał, z którego pan Kirsz machinę swoje sporządził, odpowiada wszelkim warunkom długiéj i pewnéj żeglugi. Kauczuk przy téj machinie jest obciągnięty po obu stronach płótnem i staje się przeto tęgim i nieprzenikalnym. Ponieważ zresztą szwy obu kawałków płótna nie ciągną się równolegle, a do tego jeszcze znajdującym się w pośrodku kauczukiem są przedzielone, tedy niéma się czego obawiać, aby gaz mógł ulecieć. Użycie tego materyjału jest istotnym postępem napowietrznéj żeglugi, która już daleko nad swoje dawne papiérowe montgolfiery się wzniosła.

Podobnie jak te dotychczasowe napowietrzne statki, nie zadawalniają téż techniki i dzisiejsze lokomotywy, jak one teraz na kolejach żelaznych są w używaniu, lubo my je zupełnie za doskonałe mamy. Zdaje się owszem, jakoby prędzéj czy poźniéj musiała para ustąpić z swojego teraźniejszego tronu, i zaprzestać już dłużéj kierować samowładnie wszelkiémi ruchami przemysłu i komunikacyi. Wiadomo jest powszechnie, iż próbowano zastąpić parę na żelaznych kolejach atmosferyczném powietrzem. Na ten koniec radzono aby wzdłuż całéj kolei pomiędzy obudwoma szynami umieścić cylinder, i w nim za pomocą machin, w pewnéj odległości poustawianych, próżną przestrzeń utworzyć. Nacisk atmosferycznego powietrza poruszałby z łatwością stempel cylindra, a ten wzajemnie udzielałby tego poruszenia ciągowi wozów. W Irlandyi mają już jeździć obecnie na kolei, która podług téj metody jest zbudowana, a w Francyi była już nawet mowa, aby jednę z projektowanych kolei w podobny urządzić sposób. Wspominamy o tym nowym pomyśle, ponieważ on wywołał inny pomysł, który znacznie jest poprawniejszy, a mianowicie przeto zasługuje na pochwałę, iż unika owych wielkich cylindrów, jakie wynalazcy atmosferycznych kolei wzdłuż całéj rozległości szyn umieszczają.

Podług tego poprawnego sposobu nie potrzeba żadnéj wcale próżnéj przestrzeni, a jedyną poruszającą siłą jest sam nacisk powietrza. W jednym dużym cylindrze, który część samego lokomotywu stanowi, zgęszcza się powietrze na trzech atmosferach, tak, iż dwie do nadania ruchu całéj machinie służyć mogą. Nad tym cylindrem, będącym najniższą częścią całego aparatu, znajduje się drugi, téjże saméj prawie wielkości. Ten drugi cylinder przyjmuje zgęszczone już powietrze i przenosi je do tych części machiny, które kołom ruch wirowy nadają. Nader przemyślne urządzenie wentylów służy do połączenia jednego cylindru z drugim. W ogólności jest całe dzieło z taką oględnością i tak dokładnie dokonane, iż na przykład, tylko tyle powietrza z jednego cylindru do drugiego napływa ile właśnie machina spożyć może. Ale z każdym całem odbytéj przez lokomotyw drogi zmniejsza się masa powietrza a z nią i jego nacisk. Z téj przyczyny musi zasób powietrza od czasu do czasu świeżo być podsycony. To możnaby przywieść do skutku za pomocą machin, któreby tu i owdzie wzdłuż kolei poustawiano, albo, gdyby to zbyt wiele kosztować miało, udanoby się do gotowych już rezerwoarów, któreby się musiały znajdować w poblizkości.

Ta nowa poprawa lokomocyi jest równie pojedyńcza jak łatwa do wykonania. Zdaje się iż żadna ważniejsza przeszkoda nie może się oprzéć jéj urzeczywistnieniu. Cały bowiem mechanizm jest tak mało skomplikowanym, iż niéma się czego obawiać aby go jaki nieprzewidziany wypadek nie zatamował. A to nie wszystko jeszcze. Pomyślny skutek każdego technicznego przedsiębierstwa zawisa przedewszystkiém od jego stosunkowych kosztów, a nie jeden szczęśliwy pomysł nie wyszedł poza obręb teoryi, ponieważ o ten szkopuł się rozbił. Poczyniono więc wyrachowania, ułożono porównawcze tabele i przekonano się wreszcie, iż zbudowanie i utrzymanie atmosferycynych lokomotywów, trzy razy mniéj kosztuje niżli wozów parowych. Wynalazca nowych lokomotywów zowie się Pecqueur. Ustawił w swoim domu model swojéj machiny, która bieży na szynach i żadnéj wątpliwości o zasłudze tegoż wynalazku nie pozostawia.

Współcześnie z powyższym wynalazkiem ogłosiła akademija francuzka oraz inny, który może z większą jeszcze radością przyjęty będzie, to jest wynalazek możności dowolnego odjęcia albo nadania palnéj siły prochowi. Akademija widziała sama stosowne doświadczenia, i żadnego więc już podejrzenia tu mieć nie można. Odtąd już będą się prochowe magazyny mogły zajmować od ognia, a my będziemy przytém tak spokojnymi jak przy każdym innym pożarze; robotnicy w prochowych fabrykach będą mogli odtąd popełniać nieostrożność a nie będą ich więcéj musieli życiem przepłacać. A przecież jest ten zapobieżny środek tak pojedyńczy, iż się dziwić wypada, dla czego ten, który sam

proch wynalazł, nie wynalazł oraz i tego zaradczego środka. Wynalazcą jego jest bardzo zasłużony członek akademii, porucznik przy artyleryi Piobert. Postępuje się przy tém w następujący sposób: Do zwykłego prochu palnego dodaje się tylko saletry lub pyłu węglanego, a nic go już nie zdoła przywieść do wystrzelenia. Zajmie się wprawdzie od ognia, lecz już nie spłonie, tylko się stopi z sykiem, jak wapno które się gasi. Dla przywrócenia mu siły eksplozyi, trza tylko użyć sita, przez które owe różnorodne części łatwo odłączone być mogą. Mając zaś do czynienia nie z ziarnkowatym ale miałkim prochem, trzeba użyć nieco grubiéj utłuczonego węgla, w którymto razie proch się przez sito przesiéwa, podczas gdy węgiel w nim się zostaje. Podobnież i użycie tłuczonéj ołowianéj rudy ten sam pomyślny skutek przyniosło. Przy jednéj z ostatnich prób w tym względzie, ustawiono dwie baryłki podobnie preparowanego prochu jednę na drugiéj, i podpalono spodnią baryłkę, — a otc, proch w niższej baryłce przetlał, a wyższa ani się nie zajęła. Wynikłe ztąd gorąco było tak wcale nieznaczne, iż same dna baryłek, przedzielające masę prochu, mogły były szérzenie się ognia wstrzymać. Ta ostatnia próba była dokonana nie przez samego wynalazcę, ale w Rossyi w obecności w. księcia Michała. P. Piobert uczynił już dość dawno ten wynalazek, lecz o nim zapomniano, a wreszcie i sam autor nic już o tém nie mówił. Obaczył bez wątpienia, iż nie był godnie ocenionym i zdał swoje zadosćuczynienie na przyszłe czasy. Jakże się francuzki akademik zdziwić musiał, ujrzawszy iż daleka Rossyja najpierwéj się na jego wynalazku poznała!

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 3?. i obejmuje: 1) O uprawie buraków szwedzkich (*Rota Baga*) i cukrowych i o ich użyciu do karmienia bydła. Przez pana H. Holstein. 2) O różnych doświadczeniach rolniczych, opowiadanych na siódmém zgromadzeniu gospodarzy wiejskich i leśnych w Altenburgu, 1843 roku. 3) Jeszcze jeden przepis do robienia kompostu. 4) Jakich własności krowy powinno się do poprawnego rozpłodku wybiérać? 5) Rupie i glisty w jelitach u koni. 6) Jeszcze kilka słów o fabrykacyi mąki ziemniaczanéj. 7) Jak ryby w stawie niewielkim nakładem tuczyć? 8) Literatura gospodarska.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Nr. 16. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Szkic z czasów króla Stanisława Augusta. (Dokończenie.) 2) Do *, wiérsz Celestyna W.......... 3) Kilka słów z powodu pisemka księdza hr. Dzieduszyckiego: »Dwa wieczory u starościny Olbromskiéj.«

Z Warszawy. *Przeglądu naukowego* Nr. 12. i 13. zawiéra: O naukach przez prof. Walickiego. — Zarysy Syberyi, artykuł nadesłany z Krasnojarska przez M. Łowickiego. — Wygnaniec, poezyja P. Iwaszczeńko. — Młodość moja i przejażdżki po kraju, przez Mazura z Płockiego. — Kronika pismiennicza polska. — Korespondencyja z Poznania. — Nowiny.

Biblioteka Warszawska na miesiąc czerwiec zawiera: 1) O znaczeniu Prus dawnych, przez Dominika Szulca. (Ciąg dalszy.) 2) Pieśni ludu na północy. Wyjątek z dzieła Ksawerego Marmier, przez Leona Potockiego. (Dokończenie.) 3) Krótki rys historyi alchemii, ułożony według Schmiedera, przez J. B. Dziekońskiego. (Dokończenie.) 4) Niewiasty polskie. Wyjątek ze wstępu do dzieła w rękopiśmie pod tymże samym tytułem, przez K. W. Wojcickiego. 5) O zasadzie naukowéj w dobiéraniu do twarzy kolorów dla dam, z dzieła Chevreula. 6) Poezyje: Rozbójnik salonowy, dramat Dominika Magnuszewskiego. 7) Rozmaitości. 8) Kronika literacka. 9) Kronika zagraniczna. 10) Kronika bibliografijna. 11) Doniesienia literackie. 12) Dostrzeżenia meteorologiczne w obserwatoryjum warszawskiém za kwiecień 1844.

Piśmiennictwo w królestwie polskiém. Wyjątek ze sprawozdania ministra oświécenia narodowego: »Wydział cenzury w królestwie polskiém w roku zeszłym przejrzał 600 rękopismów; z tych pozwolono drukować 575, a zakazano 25. Oprócz tego przyjęto utworów dramatycznych 39. Wydawano gazet tresci politycznéj 5, a innych pism peryjodycznych, naukowych lub literackich 20. Liczba ksiażek przywiezionych z zagranicy wynosi 86.786 tomów; z tych zakazano dzieł 90, pozwolono z wykréśleniem miejsc niestosownych 80, a pozostałe pozostawiono w zupełności. Oprócz tego dostawiano z zagranicy gazet 36, a innych pism peryjodycznych 130. Cenzura przejrzała 12 rękopismów w języku hebrajskim; z tych 11 przyjęto do druku, a 1 zabroniono.

Akordometr. Pan Roman Piotrowski, artysta muzyczny z Warszawy, wynalazł maszynkę, nazwaną akordometr, za pomocą któréj każdy, kto tylko ma słuch dobry sam sobie może nastroić fortepian lub jakikolwiek inny strunny instrument. »Odtąd,« mówi były rektor konserwatoryjum muzyki, znajomy powszechnie pan Józef Elsner, w swojém doniesieniu o téj nowéj maszynce, »otrzyma muzyka w dziedzinie harmonii tak silną i niezachwianą podporę, iż wątpić mi przychodzi, czyliby można było doskonalszém jeszcze narzędziem świat muzykalny obdarzyć... Chlubą i zaszczytem wynalazcy jest, że piérwszy jenijalnym swym pomysłem zdołał odkryć tajemnicę, dotąd dla niektórych tylko przystępną. Szanując życzenie jego, aby szczegółowy opis téj maszynki przez czas niejaki w ukryciu pozostał, winienem tylko, jeżeli głos mój w świecie muzykalnym może miéć jakiekolwiek znaczenie, sumienne i bezstronne zdanie moje wynurzyć, że akordometr p. Piotrowskiego, stanowiąc nieocenioną dogodność, zapełni brak, jaki dał się czuć przy strojeniu fortepianu i stanie się nieodstępnym jego towarzyszem.« — Na wyrabianie téjże maszynki otrzymał wynalazca od rady administracyjnéj królestwa polskiego, patent swobody na lat 10.

Nowa epoka dla fizyki. Z Neapolu. Jak wiadomo uważają fizycy kulę ziemską za wielkie ciało magnetyczne; z tego powodu sądził sławny Faraday, iż mogąc elektryczny płyn na metalowy drut sprowadzić i w ten sposób wydobyć iskrę z magnesu, zdoła ją także wydobyć z ziemi. Ale to jego usiłowanie nie powiodło się; ziemia zachowała uporczywie swą tajemnicę i nie odpowiedziała na żadne z jego tysięcznych pytań. Podobnież i inni fizycy nie byli w tém szczęśliwi; chociaż prace panów Nobile i Antinore na chlubne wspomnienie zasługują. Całą wynikłością ich jako i pana Faraday usiłowań, były ciekawe postrzeżenia nad galwanometryczną deklinacyją. Sława jednak zrobienia ziemi elektromotorem, i rozpoczęcia przeto nowéj epoki umiejętności fizyki, została zachowaną miastu Neapolu, gdzie jak wiadomo nieśmiertelny Cotugno odkrył elektryczne uderzenie, nim jeszcze Galvani, opiérając się na uczynioną o tém przez nasz anatomiczny kabinet uczonemu światu wiadomość, przedsięwziął swe ważne doświadczenia, które go unieśmiertelniły. Nasz skrzętny pro-

fesor fizyki Luigi Palmieri, rodem z Faicchio, w Terra di lavoro, jest piérwszym, który zdołał jak najświetniej rozwiązać to zadanie. Powiodło mu się wykazać, iż owe dwa zadziwiające imponderabilia, które prawie za téżsame uważano, do wzajemnego objaśnienia służą. Wsparty radą znakomitego profesora Santi Linori z Sieny, wynalazł z nim razem aparat, zwany magneto-elektro-telluryczną bateryją. Za pomocą téj bateryi wydobyli uderzenie, potém rozłożyli wodę, wreszcie dnia 16. grudnia 1843 otrzymali tak długo oczekiwaną iskrę. Powodem ich dotychczasowego ociągania się z doniesieniem uczonemu światu swego wielkiego zwycięztwa było to, iż chcieli się najprzód zapewnić o doskonałości swego odkrycia, a dopiero potém, w obecności fizyków i przyjaciół swojéj nauki, przedstawić w jasny dzień widowisko wydobycia elektrycznéj iskry z ziemi.

Szczególny talent i los jego. Prosty, uczciwy chłopek z okolic miasteczka Alby, imieniem Sieurac, który ani czytać ani pisać nie umié, zasłyszał jednego dnia kilku żołnierzów opowiadających cuda o sławnym zégarze w Sztrasburgu. Dziwna ich powieść zajęła umysł młodego wieśniaka jakby jakie z nieba objawienie. Uczuł w sobie niepokonaną żądzę utworzenia podobnego zégaru, a [illegible]jwięcej podziwu godne, pojął natychmiast sam [illegible]ebie całość i wszystkie szczegóły tego zawiłego dzieła, które wypracować przedsięwziął. Podobnie jak ów pater Giotto, który był zdziwiony że się, nie wiedząc zkąd, zna na malarstwie, zdziwił się i Sieurac, gdy uznał swoje powołanie na zégarmistrza i mechanika, o których sztuce żadnego dotąd nie miał wyobrażenia. Porzuca pług i motykę, obraca dochód swojego kawałka gruntu na zakupienie potrzebnych do zamierzonéj pracy narzędzi, a gdy i to nie wystarcza, sprzedaje swoja ojczystą cząstkę, [illegible]zień i noc się mozoli, aby swojego celu dopiął. Ileż pracy, ile nadaremnych, żmudnych usiłowań i trudów nie musiał Sieurac prócz tego ponosić! Ale jego wytrwałość, jego odwaga i jenijusz zwyciężyły nakoniec wszelkie przeszkody, a cudowne dzieło stanęło! Dwie tarcze (cyferblaty) w pośrodku, pokazują godziny podług południka paryzkiego, cztéry inne podług średniego czasu ośmiu głównych punktów ziemi! Dokładny systemat płanetowy pokazuje ruchy płanet i ich księżyców (trabantów). Duży kogut bije skrzydłami i oznajmia liczbę godzin swém pianiem; cztéréj ewangelisci każą wybijać kwadransy, dwunastu apostołów wychodzą jeden po drugim dla oznaczenia godzin, a o dwunastéj godzinie pokazują się wszyscy razem. Dumny ze swego dzieła, przybywa Sieurac do Paryża, aby je tu na widok wystawił. Członkowie instytutu podziwiają i chwalą dokładność pracy i nadzwyczajną przemyślność kombinacyj. Sieurac tém ośmielony najmuje mieszkanie w ulicy *Bonne Nouvelle* N. 10 i oddaje swój zegar na podziwianie publiczności. Lecz wyznaczona przez niego cena wstępu, była zbyt małą, ą jak to już zwykle w Paryżu bywa, nikt nie przyszedł oglądać dzieła, które można było widzieć tak tanio. Teraz, w skutek skargi właściciela domu, któremu się Sieurac za czynsz mieszkania w sumie 900 franków zadłużył, wzięto zégar pod sekwestr sądowy, a biedny artysta przyszedł do największéj nędzy. To prawdziwe zdarzenie przypomina nam niestety owego wynalazcę śruby przy statkach parowych, który zniszczywszy się kosztami, jakie początkowe doświadczania wynalazku jego za sobą pociągały, w końcu przez wierzycieli do więzienia wtrąconym został. Jednakże za chłopkiem-artystą ujęły się pisma publiczne, zbiérają dla niego subskrypcyję, on zaś nie straciwszy bynajmniej odwagi, ułożył sobie wykonać zégar na większą jeszcze skalę i przeznaczył to nowe dzieło dla kościoła katedralnego w Alby.

Starożytny zwyczaj w Rossyi. Margrabia Custine w swoich pamiętnikach o Rossyi opowiada: W nieszczęśliwéj dla Rossyjan bitwie pod Narwą, poległ francuzki książę de Croy, który pod królem szwedzkim Karolem XII. służył. Przywieziono zwłoki do Rewla, gdzie jednak nie mogły być pochowane dla tego, ponieważ nieboszczyk podczas wojennéj wyprawy wiele długów w téj prowincyi narobił a nikt ich za niego zapłacić nie chciał. Podług pewnéj dawnéj ustawy, albo raczéj podług dawnego zwyczaju, musiał póty w kościele rewelskim leżeć, aż póki jego spadkobiercy wierzycieli nie zaspokoją. Dziś jeszcze, w 140 lat po owéj bitwie, leżą jego niepogrzebane zwłoki w kościele. Pierwotna suma długu urosła procentami do ogromnéj wielkości, równie jak i koszta utrzymania i doglądania ciała, które jednakże zupełnie jest zaniedbane. Przed dwudziestą i kilką laty przybył cesarz Alexander do Rewla. Zwidzając kościoł, ujrzał trupa i oburzył się tym przerażającym widokiem. Opowiedziano mu historyję księcia de Croy; rozkazał natychmiast trupa pogrzebać a kościoł starannie oczyścić. Stało się; ale w dzień wyjazdu cesarza z Rewla, wyjęto trupa z ziemi i złożono go znowu na tém samém miejscu w kościele, gdzie go do dzisdnia widzieć można.

Ludność miasta Londynu wynosi podług ostatniego obrachowania 2.007.550 dusz. Jak się z urzędowych wykazów od r. 1839 do 1844 okazuje, umiera tamże co tydzień w przecięciu 946 osób.

Panna Rachel występuje w gościnnych rolach w Bruxelli.

Jednym z najsławniejszych naturalistów północnéj Ameryki jest dr. Troost z Tenessee. Ma on niesłychane zamiłowanie do wszelkich gadów; dla tego téż zawsze mnóstwo ułaskawionych wężów po kieszeniach i pod kamizelką przy sobie nosi. Największą jego roskoszą jest kołysać się na swojém krześle na pasach, mówić o geologii i głaskać przytém głowę wielkiej gadziny, która mu się wokoło szyi wije. Co roku odbywa wycieczkę w góry. Jednego razu kazał się z niebardzo dobrze przymkniętym koszem przyjąć do pocztowego wozu, w którym kilku deputowanych do Washingtonu jechało. Tuż koło kosza dokt. Troosta siedział jakiś opasły duchowny, który przebudziwszy się z niespokojnego snu, ujrzał z niewymowném przerażeniem dwa okropne, najzjadliwsze węże, wystawiające swe straszliwe głowy z kosza! Jak od pioruna rażony, rzucił się natychmiast ku pocztylijonowi, który usłyszawszy o co chodzi, wyskoczył z nim razem z powozu. Podobnież, jakby ich nie było, powyskakiwali i inni podróżni, a wkrótce został się dr. Troost sam na sam ze swymi grzechotnikami. Rozpostarł spokojnie swój płaszcz na koszu, owiązał go chustką od nosa, i rzekł z największą flegmą do swoich bez duszy na drodze stojących współpodróżników »Siadajcie moi panowie; te lube stworzenia nic wam złego nie zrobią, tylko się strzeżcie aby was nie ukąsiły.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.